ROZMAITOŚCI.

Dnia 8 listopada, Ner 45. roku 1845.

Małżonek 15go wieku.

Słońce stało właśnie w południu, gdy nagle ozwały się dźwięki trąbki zapowiadające odwidziny w zamku Riss, którego podnóże oblewała Sekwana, a wieżyce patrzyły ponad najpiękniejszą krainę Francyi.

Na odgłos gościnnéj trąbki, wyszły dwie młode niewiasty na kamienny balkon n jednéj z cztérech narożnych baszt zamkowych. Starsza dama, brunetka, była jakto jéj czarna suknia o żółtych koronkach okazywała, jedną z owych dworskich panien, które w średnich wiekach zwykle przy boku pani zamkowéj bawiły, pochodząc najczęściej z ubogich ale szlachetnych rodziców. Ubiór młodszéj odznaczał się przepychem i wytwornością; byłato w rzęsiste przeguby biała, złotem przetykana szata z długiémi zwisającémi rękawami, bramowanémi kosztownem futrem, pod nią żółta suknia, na głowie karmazynowy *hennin,* z długą białą zasłoną wtył zarzuconą, która wraz z szczególném ubraniem głowy, melancholicznym rysom jéj twarzy nadawała jakiegoś sprzecznego wyrazu.

„Otoż i małżonek pani —" wykrzykła starsza, wychylając się z balkonu, podczas gdy pani zamku, stojąca więcéj w głębi, zadumczywym wzrokiem po falach rzéki błąkała. — „I zdaje mi się nawet, że z jakimś młodym rycerzem przybywa. Widzisz pani, jak dobrze było, żem panią do staranniejszéj toalety namówiła."

»A czyż nie możesz poznać, Madilinetto, kto jest ten nieznajomy?" spytała młodsza z pozorną obojętnością.

„Po jego pióropuszu i jego płaszczu, który téjże saméj jest barwy, co suknia pani, a jeszcze bardziéj po udatności jego postaci, i śmiałém a swobodném prowadzeniu rumaka, poznaję w nim księcia Ludwika de Tremoille."

Wiotką, nadobną postać pani des Essarts opanowało lekkie drzenie.

»Pójdźmy naprzeciw memu mężowi, —" rzekła do swojéj towarzyszki, chcąc jéj spojrzeń uniknąć, i zarzuciwszy zasłonę na żywo zarumienione lica, zniknęła w wnętrznych komnatach zamku. Po chwili były już obie przy głównéj bramie, oczekując przybycia gości.

„Przyprowadzam ci tu mojego najlepszego przyjaciela, Antonino —" ozwał się kawaler des Essarts, zsiadłszy z konia i przedstawiając osłonionéj hrabinie książęcia de Tremoille, który przed piękną hrabiną aż do ziemi się skłonił. „Polecam go twéj przyjaźni, i proszę cię, abyś z nim jak z bratem, jak ze mną samym się obchodziła. No, uchylże przecież zasłony, moja gołąbko, i podaj temu nieśmiałemu rycerzowi rękę do pocałunku. A masz wiedzieć, moja duszo —" dodał wesoły małżonek, bawiąc się zarówno zmieszaniem swojéj małżonki, jakoteż kłopotem młodego przyjaciela, który ją trwożnie w rękę całował— „masz wiedzieć, iż nasz Ludwik jest tak płomiennego serca, i tak łatwy do rozkochania, że nie umie nawet wymienić damy swojego serca — gdyż wszystkie kocha, wszystkie mówię, a kto wie, czy i ty moja najmilsza może w ich liczbie się nie mieścisz."

Po tym żarcie, który zakłopotanie obojga młodych ludzi jeszcze bardziéj powiększył, wziął hrabia z uśmiéchem rękę Antoniny, i oddał ją księciu, a potém patrząc z tkliwém pobłażaniem na żonę, a politowaniem na młodego książęcia, zawołał śmiejąc się:

„To mi dzieci!" Wszedłszy zaś do zamku rzekł wesoło: »Siadajcież do stołu! Jestem głodny jak krzyżak z ziemi świętéj wracający." — —

Jeszcze ośm dni od czasu przybycia książęcia de Tremoille nie upłynęło, gdy dnia pewnego pan zamku, wstępując do pokoju książęcia, zastał go przygotowaniami do odjazdu zajętym.

»Cóżto, chcesz nas opuścić, Ludwiku?" spytał.

»Tak jest, mój przyjacielu —" odrzekł tamten, nie patrząc hrabiemu w oczy.

„Cóż ci jest Ludwiku?" zapytał hrabia znowu z niecierpliwością. »Wybladłeś, wychudłeś? Ta miłość, z któréj sobie przed przyjazdem twoim do mego zamku żartowałem, wyniszcza cię, jak widzę. A również, jakbyście się zmówili, jest i moja żo-

na od czasu twego tu pobytu słabą; nie wychodzi z komnaty, co zapewne dla gościa nie bardzo jest przyjemném. Nie śmiém też, doprawdy, zatrzymywać cię dłużéj, ale pomówię z Antoniną. Jéj słabość zdaje się być czystym grymasem.... Ach kobiety, kobiety! — Bo widzisz mój kochany, takieto one! Wszystkie nam na przekór! Gdybym był zażądał od mojéj żony, aby się zimną, obojętną dla ciebie okazała, byłaby ci właśnie dla tego samego spokoju swojémi grzecznościami nie dała. Widzę teraz, że ci krzywdę zrobiłem; powinienbym był powiedzieć do mojéj żony: Antonino, krzyw się w obecności Ludwika, nie mów nic przy obiedzie, a jeżli ujrzysz, że on poszedł na prawą, ty idź w lewą! Natenczas przekonałbyś się mój przyjacielu, jakby ona wcale inaczéj z tobą się obchodziła, i nie miałbyś pewnie ochoty opuszczać nas tak prędko. No? jakże? Nie odpowiadasz.... twój koń już osiodłany... ty przypinasz ostrogi ... Spodziewam się przecież, że nie zechcesz odjechać, nie pożegnawszy się wprzód z hrabiną, i niewysłuchawszy nagany, jaką jéj w twojéj obecności za tak niegrzeczne obejście się z tobą, wyrazić postanowiłem.»

„Proszę cię, mój Robercie —» ozwał się książę spiesznie z widoczną niespokojnością — »proszę cię, nie mów nic o mnie przed hrabiną. Nie podobałem się jéj, i chcę oddalając się od was, sam siebie ukarać za to; lecz moja przyjaźń dla ciebie pozostanie zawsze niezmienną. Żegnam cię, żegnam Robercie.»

„Jakimże dziwnym głosem wymawiasz to »żegnam cię, żegnam —» ozwał się hrabia wzruszony. „Zdaje się jakbyś to mimo chęci, i z głębokim żalem wymawiał.»

„Ach, tak jest, tak jest!» zawołał książę boleśnie, a potém opamiętując się dodał: — „Nie prawdaż Robercie, usprawiedliwisz mię przed hrabiną, że bez pożegnania się z nią odjechałem?»

»Nie, nie uczynię tego, gdyż nie powinieneś tego czynić; hrabina już wstała; bawi właśnie teraz w swojéj modlitewnéj komnacie. Musisz pójść do niéj ze mną. Żadnych wymówek! nie przyjmuję żadnych, Ludwiku.»

To mówiąc, zaprowadził hrabia de Essarts prawie na siłę swojego przyjaciela do pokoju hrabiny, dokąd bez poprzedniego oznajmienia weszli.

Hrabina nie była o tym czasie na podobne odwidziny przygotowaną a była w porannym ubiorze, bez żadnego innego stroju na głowie, prócz swoich prześlicznych jasnych włosów, z odkrytémi ramiony i odsłonioną szyją, obrócona tyłem do drzwi wchodowych.

Siedząc tak na nizkim taburecie, igrała z ładnym czarnym chartem, który niegdyś do książęcia należał, a którego on hrabinie dał w upominku. Dotąd jeszcze miał on na złotéj obróżce nazwisko księcia. Trzeba wiedzieć, że w owych czasach żaden możny pan, ani żadna dostojna dama, bez jednego lub kilku psów obejść się nie mogli; byłoto niejako znamieniem szlachectwa; ztąd też idzie, że tyle herbów z wyobrażeniem psów widzimy.

»Antonino!» zawołał hrabia de Essarts spiesznie. Antonina obróciła się ku drzwiom, a postrzegłszy swojego męża w towarzystwie księcia, wydała głośny krzyk zdziwienia, a lica jéj i czoło oblały się żywym rumieńcem.

Małżonek przypisał to nagłemu wrażeniu jakie ich niespodziane wejście sprawiło, i rzekł swobodnie:

„Oto nasz przyjaciel, książę de Trémoille, przychodzi pożegnać się z tobą moja kochana, gdyż dziś jeszcze odjeżdża.»

»Odjeżdża —» powtórzyła głębokim tchem hrabina, a lica jéj, przed chwilą w płomieniach, zgasły teraz w grobową bladość, i nadstawiła rękę, jakby się na czémś oprzeć chciała; zdało się, że jéj w téj chwili serce pękło.

Ta zmiana lica małżonki wyjawiła hrabiemu de Essarts całą tajemnicę jéj serca. Spojrzał na przyjaciela, i na jegoż licu równie postrzegł tę samą zmianę. Na ten widok zamarły mu słowa na ustach, a bolesne podejrzenie zmarszczyło mu czoło.

Książę przerwał milczenie.

»Bądź zdrów, mój przyjacielu —» rzekł do hrabiego. „Bądź mi pani zdrowa» ozwał się do Antoniny i szedł już ku drzwiom.

»Jeszcze chwilę —» rzekł des Essarts do księcia, wziąwszy go za rękę.— „Chwilę tylko, kochany przyjacielu — Mam cię prosić o jednę łaskę.»

»Mów, mów,» odrzekł książę z żywością.

„Pewna ważna sprawa, któréj odwlekać nie mogę, zmusza mię odjechać dziś jeszcze do Paryża —» mówił hrabia zwolna, spozierając z kolei to na przyjaciela, to na żonę, którzy oboje wzrok ku ziemi spuścili. — »Bądź więc łaskaw i odłóż dla mojéj przyjaźni twój wyjazd na jutro; nie chciałbym aby moja żona sama jedna bez obrony w tym starym zamku została, który i źle jest obwarowany, i co chwila przez łotrujących po okolicy włóczęgów napadniętym być może.... Jakże, nie uczynisz mi téj grzeczności? — Jestto przysługa przyjacielska, o którą szczérzę cię proszę...» Wyrzekł to szybko i żywo, jakby się lękał odmówienia.

»Zostanę —» odpowiedział de Trémoille, nie podnosząc oczu ku niemu.

»Dziękuję ci —» odrzekł małżonek. — „Jeżli chcesz wydać rozkazy do odłożenia twego odjazdu na jutro, raczże zaraz to uczynić.»

Te ostatnie słowa miały znaczyć, aby oboje małżonków sam na sam zostawił. De Trémoille zrozumiał to i wyszedł.

Zostawszy bez świadka z żoną, przystąpił hrabia do maleńkiego biórka, przy którém Antonina czasami listy do swojéj rodziny pisywała, i gdzie zwykła była chować pieniądze. Ztamtąd wyjął on kartkę czystego papiéru, napisał coś na nim, zapieczętował drżącą ręką, a potém zwrócił się do żony.

Hrabina siedziała od czasu wyjścia księcia Ludwika nieporuszenie na swojém miejscu. Słowa małżonka przeniknęły ją dreszczem.

»Antonino —» ozwał się hrabia łagodnym głosem, w którym jednak cierpki wyraz goryczy się przebijał. — » Po moim odjeździe, staraj się widzieć z księciem i oddaj mu sama ten papiér»

»Dobrze mój mężu —» odpowiedziała hrabina.

„Lecz oddaj mu go sama; rozumiész, sama — » powtórzył des Essarts powstając od biórka i oddalając się ku drzwiom. Gdy już próg miał przestąpić, wstrzymał go jakiś głos błagający. Hrabina, drżąca, wzruszona, wzywała go ze łzami aby się wrócił.

„Czegoż chcesz ode mnie?» zapytał.

»Czémże cię, mój mężu, obraziłam?» zawołała hrabina, łzami zalana.

»A poczémże to poznajesz, że jestem urażony?» odrzekł małżonek z udaném zadziwieniem.

„Odjeżdżasz nie pożegnawszy się zemną, nie podawszy mi ręki do uściśnienia»— mówiła Antonina nieśmiało.

„Masz słuszność, moja kochana — » odrzekł des Essarts, i zbliżywszy się do żony, uściskał ją kilkokrotnie, a za każdym razem prawie na pół obłąkany; po czém usunąwszy ją łagodnie od siebie, rzekł: „Bądź zdrowa, Antonino —» i wyszedł szybko z komnaty.

Nie długo trwało, ozwał się tentent koni na podwórzu, słychać było spuszczenie mostu, hrabia odjechał.

Dopiéro po uciszeniu się wszelkiego gwaru, sprawionego odjazdem pana zamku, ośmieliła się Antonina kazać prosić księcia do siebie. Pośpiech z jakim tenże na jéj wezwanie się stawił, przejął ją niespokojnością.

„Sami! — my sami z sobą!» rzekł książę, wstrzymując się na progu, a serce biło mu gwałtowną radością.

„*Messire* —» ozwała się hrabina, kryjąc pod przybraną obojętnością głębokie wzruszenie — „oto jest list, który na rozkaz mojego męża, mam tobie książę doręczyć.»

Książę biorąc list z rąk hrabiny, zatrzymał jéj rękę w swojéj ręce; wzajemne to dotknięcie przeniknęło słodką rozkoszą oboje tajnych kochanków, stali długo naprzeciw siebie w milczeniu, nieruchomo i bez tchu prawie, jakby się lękali spłoszyć to lube, ciche szczęście. Aż w końcu hrabina, powodowana ową niewieścią wstydliwością, która jest aniołem - stróżem nieskazitelnéj cnoty, chciała usunąć swą rękę. Książę kochał ją zanadto czystą miłością, aby jéj tego miał wzbronić. Tak sam list tylko pozostał w jego ręce, a spojrzawszy na adres, wzdrygnął się przerażony.

„Od twego męża pani!» zawołał. — »Czegoż on może żądać ode mnie. Wszak właśnie co dopiéro z nim się rozstałem.»

»Czytaj, książę —» rzekła zwolna hrabina.

„Ach, tak jest, nie mogę taić, wiém, wiém —» mówił książę, nie otwiérając listu, i rzuciwszy się z rozpaczą w stojące przy nim krzesło — „wiém, o co chodzi; odkrył moję miłość, i czyni mi tu wyrzuty.»

»Czytaj książę —» powtórzyła hrabina, a tym razem byłto głos niespokojnego, lękliwego błagania.»

»Ach, cóżby on mi tam mógł powiedzieć, czegobym ja sobie sam już tysiąc razy był wprzód w zarzut niepowiedział! —» zawołał książę w najgwałtowniejszém wzruszeniu. „Tak jest — kocham! Lecz kogoż, o mój Boże? Oto małżonkę mojego przyjaciela! jedynę z kobiét, na którą nigdy nie powinienbym był oczu podnieść — jedynę, która jako prawemu człowiekowi, jest mi wzbronioną — lecz też jedynę» — dodał z spojrzeniem, pełném najgorętszéj miłości — »jedynę, która godna była takiéj miłości..... Antonino!»

Rzewna serdeczność z jaką to ostatnie słowo wymówione zostało, przeniknęła do najskrytszéj głębi całą duszę hrabiny, lecz przeniknęła ją oraz i tak wielką trwogą, iż przestraszona w tył się cofnęła.

„Czytaj — czytaj książę!» błagała składając przed nim ręce, gdyż teraz odkryła cały stan swego serca, i ujrzała w niém wraz z miłością, okropną trwogę z powodu swego męża. Z oznaką gorzkiego wstrętu oderwał książę pieczęć i zaczął czytać piérwsze wyrazy listu, ale im daléj czytał, tém bardziéj łagodził się wstręt jego.

„Mogłeś od najdawniejszych czasów naszéj znajomości przekonać się mój przyjacielu, iż zawsze »szczérze dbałem o twoje dobro. Wszelkie tajemnice twojego serca, były mi znane, a tak nie uszła »mię owa, która w obecnéj chwili serce twe niepokoi. Ujęty nadobnością mojéj żony, pokochałeś ją, „Ludwiku. Uważ to jednak dobrze, iż miłość do „kobiéty, którę kto inny małżonką swoją nazywa, »z tysiącznémi przykrémi uczuciami jest połączona. „Nie myśl jednakże, jakobym przez zazdrość chciał „cię odstraszyć; wszakże wolno ci jest widziéć bez„przeszkody tę, która ja opuściłem. Używaj jéj »towarzystwa, jeźli to boleść twoję umniejszyć zdo»ła. Lecz, ach, obawiam się, iż ci ta zażyłość wkrót»ce się sprzykrzy, jakto zwykle skutkiem podo»bnych stosunków bywa, a ja, utracę moją mał-

„żonkę i umrę z żalu. Uznaj więc ztąd moje przy-„wiązanie do ciebie.

„Ten list niechaj ci powie, czego ja sam wyrzec „nie śmiałem.»

Po odczytaniu tych wyrazów wypadł księciu papier z ręki; hrabina podniosła go uroczyście i do ust przycisnęła.

„O najszlachetniejszy z ludzi!» zawołała ze łzami, a potem zwrócona do książęcia, rzekła:

»O, jakżeśmy zbłądzili, *messire!*»

»Jesteśmy nieszczęśliwi —» odpowiedział książę, powstając — „lecz żadna wina nie cięży na piersi naszej, gdyż od tej chwili, będziesz mi tylko siostrą — a możnaż to nazwać winą, jeźli kto siostrę kocha?... Tak jest, możesz już bez obawy podać mi swoję rękę, a ja mogę ją przyjąć, i bez niebezpieczeństwa w te piękne spojrzeć oczy. Antonino, małżonko Roberta des Essarts, wznieś oczy w górę i powitaj mię swoim bratem.»

»Mój bracie!» rzekła hrabina półgłosem.

„Moja siostro!» zawołał książę— „moja ukochana siostro — bądź zdrowa! Jadę naprzeciw twemu mężowi. O, drogi liście—» dodał— »tyś jest sprawcą, iż bez trwogi i wyrzutow sumienia stanąć mogę przed obliczem przyjaciela.»

„O mój Boże!» rzekła hrabina zostawszy sama i klękając przed swoim modlitewnikiem — »Ach, od czegoż to zależy cnota nasza? Jakże wynurzę niebu moję wdzięczność, że mi tak szlachetnego dało małżonka!»— —

Kronika, z której powyższy wypadek jest wyjęty, kończy w następny sposób:

„Nad wieczorem dosiadł książę de Trémoille ulubionego rumaka i wyjechał naprzeciw hrabi. Gdy się obaj spotkali, służba otrzymała rozkaz jechania przodem, a oni ztyłu zostawszy, długą z sobą wiedli rozmowę. Trémoille uniewinniał ile mógł swoje zachowanie, i wyznał uroczyście, iż list przyjaciela od wszelkiej namiętności go wyléczył, i że miłość, którą teraz dla jego pięknéj małżonki czuje, jest tak czystą i niewinną, iżby wolał raczéj natychmiat nmrzeć, niżby miał ich domowe pożycie zatruwać.

»Wśród takiéj rozmowy powrócili na zamek, gdzie już gotowa wieczerza na nich czekała. Przymuszony przez hrabiego des Essarts, usiadł książę obok jego małżonki. Zachowanie się obojga nawróconych kochanków, było tak niewymuszone i naturalne, iż mąż nie mógł już wątpić, że się swojéj nierozsądnéj miłości na zawsze zrzekli.

„Małżonka hrabi des Essarts wstydziła się długo swego błędu, i żaden dzień nie minął, w którymby, rozważając wielkość niebezpieczeństwa, w jakie się sama podała, nie wylewała była łez rzewnéj skruchy. To stało się na przyszłość taką dla niéj nauką, iż późniéj żadna niewiasta w mądrości jéj nie dorównała. Co zaś do Ludwika xiążęcia de Trémoille, znajdował się on w roku 1441 wraz z królem Karolem VI przy oblężeniu miasta Pontoise, i umarł w roku 1464tym bezżenny.»

Uragan.

U stóp pogórza, gdzie Oznok swoje strome, ostre skaliska daleko w owe rozległe północno-amerykańskie niziny o gęstych i krzaczystych zaroślach wysuwa, w pobliżu rzeki Mulberry, która szumiąc i pieniąc się, pomiędzy sterczącémi u brzegów zimowémi bryłami lodu się przedziéra — szli doliną po rzecza dwaj bieli strzelcy w zwyczajne w tamtych stronach wełniane poobwijani koce, szukając miejsca, którędyby się przez rzékę przeprawić mogli.

„Jérzy» zawołał w końcu jeden z myśliwych — »daremne nasze szukanie. Rzéka staje się tu coraz szérszą; nie znajdziem nigdzie kładki; a gdybym nawet ów jasion nad brzegiem zrąbał, niedosięgnąłby on na tamtą stronę rzéki. Do tego, nadchodzi burza, i mocno pozimniało. Zdaje mi się, iżby nie od rzeczy było, gdybyśmy tu gdzie w pobliżu nocleg sobie znaleźli, a nie musieli tak biédować, jak przeszłéj nocy.»

„Szkoda przecież—» odrzekł Jérzy, do brata — „że się do parowu po tamtéj stronie rzéki dostać nie możem; gdyż nietylko że mielibyśmy tam wyborne przez noc schronienie, ale oraz mógłbym jeszcze zapolować na niedźwiedzia, o których tam nie trudno. Lecz woda zbyt zimna; niepodobieństwo prawie rzékę przepłynąć; a burza także tylko co niewybuchnie. Zatém żwawo do dzieła! Jest tu starych drzew podostatkiem, i niebawem téż i gościnny dach z kory stanie.»

„Jest mi tu aż zanadto tych drzew» odrzekł z niejakim namysłem brat Jérzego — „a wszystkie spruchniałe i nadpsute. Nie lubię w tak niebezpiecznem sąsiedztwie nocować. Wszak wiesz, co nam ojciec o tych starych drzewach opowiadał—?»

»Dzieciństwo, Tom!» odrzekł śmiejąc się Jérzy — „Gdzież lepszy nocleg znajdziemy? Mamy tu wodę, mamy drzewa na ogień, tam rosną wyśmienite koły do zrobienia na prędce płotu, a owa kora, przyda się na dach wyborny.»

Tom nie sprzeciwiał się daléj; miejsce zdało się być rzeczywiście dogodném; jakoż wzięto się natychmiast do wystawienia budy z gałęzi, w któréjby przed nadciągającą burzą przytułek znaleźć mogli. Wprawieni w podobny rodzaj pracy, dokonali szybko rozpoczętego dzieła, a nim pół godziny minęło, siedzieli obaj pod spiesznie przyrządzonym dachem, przy wesołém ognisku, obracając pieczeń przy ogniu.

„Dziwna rzecz, jak się nagle coraz zimniéj robi» ozwał się Tom— „patrzno, woda w blaszance zu-

pełnie już zamarzła, a wiatr obrócił się ku wschodnio-północnéj stronie i dmie przeraźliwie.»

„Niech sobie dmie—” ziewnął Jérzy, nakrywając się swoim szérokim kocem — „jestem znużony i będę spał — dobra noc! — Przyłóż jeszcze kilka gałęzi, a nazajutrz rano, kto wprzódy wstanie, ten niech zbudzi drugiego.»

Minęła północ, ogień dopalał się do reszty, a obaj bracia spali twardo i spokojnie, a mroźny, północny wiatr, który tu od pokrytych śniegiem wzgórzów zawiéwał, nie był wstanie przerwać im snu zdrowego. Tymczasem nadciągnęły zewsząd czarne chmury, i nabrzmiewając w coraz ogromniejsze bałwany, wisiały groźnie nad miotanémi wiatrem drzewami. Wtém na czarném niebie błysło jaskrawo, a wraz rozległ się okropny łoskot gromu, i zarazem wszczęła się wichrząca burza zimowa, i zawył szalony, północno-amerykański uragan.

„Jérzy!” krzyknął zrywając się Tom— „Jérzy, wstawaj! Nie można dłużéj leżéć — patrz, jak te stare drzewa się chwieją, — a tam — czy słyszysz? — znowu runął piorun i jedno drzewo zgruchotał. —»

„Aha!” zawołał Jérzy, zrzucając żwawo koc z siebie— »złapała nas przecież nawalnica! Ale trzymajże dach bracie, bo, jakem żyw, ten przeklęty północny dmuchacz porwie go z sobą!»

Obawa Jérzego nie była próżna, gdyż w téjże saméj chwili rozsrożył się tak gwałtownie wicher, iż cały szałasz wraz z ogniskiem w powietrze się rozwiał. Tu znowuż straszliwie błysło, a towarzyszący błyśnięciu piorun, przygłuszył nawet wściekły ryk burzy. Naraz jakby ziemia ze swoich posad runąć miała, wszczął się jakiś głuchy huk podziemny, i coraz bliżéj toczył się przeraźliwie okropny łoskot zupełnie podobny do nieustannego bicia dział tysiąca, a wreszcie wszystkie te gromy zmieszały się w jeden piekielny huk i łomot, o którym tylko ten wyobrażenie miéć może, kto na swoje własne uszy taki amerykański uragan słyszał.

Olbrzymie pnie, które wiekom się opiérały, gięły się teraz jak wątłe trzciny, a za jednym razem wściekłą siłą burzy napadnięty, z okropnym trzaskiem i grucbotem powalił się cały las niebotyczny, jakby od jednéj ręki był ścięty!

Sprawiwszy to zniszczenie, pognała daléj burza, i zmiatając po drodze swojéj stoletnie dęby jakby wątłe dźbła, niszczyła wszystko lub niosła z sobą. Po czém nastała grobowa cisza, i głuche milczenie zaległo nadrzeczną dolinę, zarzuconą łomowiskiem odwiecznego lasu.

Ani się wietrzyk nie ruszył, a ten martwy spokój po tak okropnie gwałtownym rozprzęgu żywiołów, przerażał jeszcze sroższą trwogą serce ludzkie niż najprzeraźliwszy ryk burzy.

Jérzy uszedł prawdziwym cudem niebezpieczeństwa: uchwyciwszy się bowiem już obalonego pnia, został téjże chwili gałęziami powalonego w poprzek drzewa tak ochronnie przykrytym, iż ocalał śród powszechnego zniszczenia. Skoro jednak pierwsze niebezpieczeństwo minęło, wyskoczył ze swojéj kryjówki, i oglądając się trwożnie w około, zaczął wołać na brata.

»Tom! Bracie! Tom! Gdzież jesteś! — Boże! Wielki Boże! miałżeby cię tak okropny los spotkać!»

Zaiste! mógłby się był jeszcze szczęśliwym nazwać, gdyby go ten okropny los był spotkał, lecz on żył jeszcze, a słaby jęk jego ledwieco dolatywał ku trwożnie nadstawionemu uchu brata.

„Boże litości!” krzyknął Jérzy z boleścią, i przeskoczywszy kilka pni, stanął z rozpaloną głownią przed bratem. „Boże litości!„ powtórzył prawie bez zmysłów, i zakrył sobie twarz ręką, gdyż przed nim, jak trup blady, do pół ciała pod obalonym i w ziemię zarytym pniem olbrzymiego dębu pogrzebany, leżał jego brat, jego Tom — jego nieodstępny towarzysz — druga połowa jego życia.—

„Zimno mi” wyjęknął nieszczęśliwy, spoziérając błagającym wzrokiem w górę ku bratu, który nieruchomy, bezwładny, jak kamienny posąg stał przed nim. — „Zimno mi, bracie; czy nie możesz tu przynieść ognia?»

Te słowa obudziły go z otrętwienia.

„O bracie! bracie!” zawołał głosem rozpaczy i padł obok skaleczonego ciała Toma.

»Przygniotłeś mi rękę— Jérzy» zajęczał tenże— „Boli mię, i bardzo mi zimno!”

„Zaczekaj — przyniosę ognia —» zawołał Jérzy, zrywając się z ziemi.— „Zaczekaj tylko chwilę, przyniosę węgli, i pomogę ci bracie — tylko chwilkę wytrwaj! —» i w szalonym pośpiechu poleciał ku ognisku— porwał skrzącą się głownię— wrócił do brata— nakładł suchych gałęzi i wzniecił w oka mgnieniu płomienisty ogień obok dęba, pod którego olbrzymim ciężarem brat jego pogrzebion leżał. Teraz dopiero ujrzał w całéj niezmierzonéj wielkości nieszczęście brata, i w zawrocie rozpaczy chciał dźwignąć drzewo, któregoby i sto ludzi nie było w stanie z miejsca poruszyć.

„Bracie—” ozwał się Tom zcicha. — »Pójdź tu; pójdź, daj mi rękę — tak! — a teraz bracie powiedz, czy mię kochasz?»

Konwulsyjne ściśnienie ręki było jedyną odpowiedzią, gdyż mówić nie był w stanie, ileże wstrzymywane na siłę łzy głos mu odjęły.

„Chceszże mi spełnić jednę prośbę?” prosił Tom boleśnie, przyciągając brata ku sobie.

„Prośbę?” zapytał Jerzy— »Ach, jakiéjże prośby nie spełniłbym dla ciebie, gdyby tylko w méj mocy było!»

„Przyrzekaszże mi ją spełnić?»

„Czegoż żądasz?” ozwał się Jérzy zdziwiony.

„Weź strzelbę — i skończ moje cierpienia.”

»Tom!” krzyknął Jerzy z przerażeniem.

„Skończ moje cierpienia!” powtórzył nieszczęsny błagalnym głosem. — „Ach, bracie, jeźliś mię kiedy kochał, teraz pora dowieść mi tego — nie daj mi długo — okropnie się męczyć!”

»Ocalę cię, chociażbym to własnem przepłacił życiem! —” zawołał Jerzy — »Jeszcze dziś wieczór wrócę z pomocą.”

„To nie podobna — ” odpowiedział Tom, potrząsając smutnie głową. — »Najbliższa osada leży o mil piętnaście! A gdyby nawet i bliżej było, mógłbyś najwięcej piętnastu ludzi sprowadzić, a cóżby i ci pomogli! A gdyby nawet i odwalono to drzewo, tedy mam obie nogi zgruchotane, a najbliższy lekarz mieszka w miasteczku, o jakich 50 mil ztąd. — Bracie, chceszże abym tu kilka dni konał?”

»Żądaj mojego życia, a chętnie ci je oddam, lecz nie wymagaj ode mnie tak okropnéj rzeczy. Zwłaszcza gdy jeszcze nie wszelka nadzieja zginęła, mam siekierę, mogę rozrąbać to drzewo, mogę...”

„Możeszże i takie rany zagoić?” przerwał mu Tom, wskazując na stérczące z pod dęba kości... Byłto okropny widok. Jerzy pochylił się w niemym bolu ku bratu.

»Jażbym cię miał zamordować — ” rzekł z cicha.

„I tyż nazywasz to mordem, bracie?” mówił Tom daléj, zacinając usta z boleści. — »O, gdybyś czuł co ja cierpię, nazwałbyś to litością, i nie dałbyś mi prosić daremnie.”

„Podam ci strzelbę, bracie; nie czyń mnie bratobójcą!” jęknął Jerzy.

»Moja prawa ręka jest także złomana; nie mogę.”

„Bracie, bracie! wieszże, czego ty po mnie wymagasz?” płakał zapamiętały łowca, teraz jak dziecko zmiękczony.

„A cóżeś niedawno z Nestorem zrobił, gdy niedźwiedź żywcem go rozpruł?”

„Zastrzeliłem go ”

„Byłto twój ulubiony pies.”

Jerzy odpowiedział tylko głośniejszém łkaniem.

»Tożeś go więcéj nademnie kochał?” zapytał Tom z rozpaczą

„O dla czegoż nie usłuchałem twojéj rady, gdyśmy wczoraj wieczór na to nieszczęsne miejsce przyszli? Dla czegoż nie wystrzegałem się bardziéj tych drzew spruchniałych, które nam zewsząd groziły? Dla czegoż...”

„Ach bracie,» przerwał mu nieszczęśliwy — »nie uwolniszże mię od téj męczarni?”

„Uwolnię —” odrzekł Jerzy z płaczem, przychylając się na szyję brata. W serdeczny, długi, pożegnawczy całunek, wssały się ich usta, a gdy Tom wreszcie zlekka chciał go odsunąć, przytulił się Jerzy jeszcze ściśléj do piersi brata, lękając się okropnéj chwili, która po ich rozłączeniu nastąpić miała.

Wtém zajaśniał dzień na wschodzie, a zwrócone ku téj stronie nieba gałęzie drzew obalonych, opromieniły się blaskiem wschodzącego słońca.

»Czas już rozstać się bracie—” rzekł Tom— „Bracie bądź mężem.”

To mówiąc odparł uprzejmie brata od siebie, a ten powstał.

„Niech się dzieje wola Boża!” zawołał — »Widzę, iż słusznie jest, co mówisz; niéma żadnéj nadziei! Wiém także, iż w podobnym razie i ja bym tegoż samego od ciebie zażądał, a tybyś mi też nie odmówił. Pomódl się więc do Boga, i pomódl się także i za mnie, aby mi Bóg to bratobójstwo przebaczył.... ”

Poczém poszedł chwiejącym krokiem po strzelbę, i wrócił po chwili śmielszy i spokojniejszy. Trzymając w lewéj ręce strzelbę, utorował sobie prawą ręką drogę pomiędzy pnie i gałęzie, i stanął znowuż obok Toma, który z pogodnym uśmiechem ku niemu spoglądał.

„Jestem gotów —” ozwał się Tom uprzejmie. — »Bracie nie drzyj! — odważnie! — I niech ci Bóg tę wierną przysługę nagrodzi! Bądź zdrów.” To mówiąc podał mu z odwróconą twarzą, lewą, zdrową rękę do uściśnienia.

„Bracie!” zawołał Jerzy w najsroższéj męce i rzucił się jeszcze raz na piersi bratu. Uścisnęli się raz jeszcze, raz ostatni, a potém ozwał się Tom z cicha: »Prędzéj— prędzéj!” Na te słowa szybko poskoczył Jerzy ku strzelbie — złożył się — i padł wtéjże chwili bez zmysłów obok trupa zastrzelonego brata....

I cóż nam jeszcze dodać pozostaje? Mamyż opowiadać, jak Jerzy przyszedł do siebie, jak starannie gałęź po gałęzi znosił na trupa brata, aby się ryś lub wilk na ukochanych zwłokach nie pastwił, — jak nieprzytomnie z tych miejsc odszedł, i pielęgnowany przez troskliwych przyjaciół, długo w dzikich gorączkowych marzeniach, ze śmiercią walczył—? Nie; dość tych opisów boleści. Już i on przestał cierpieć, i nie zrywa się więcéj o północy z łoża spoczynku, i nie ucieka z krzykiem, jak wtedy, gdy go jeszcze okropne sny widziadłami krwawéj postaci brata dręczyły. Zginął w wyprawie przeciw dzikim Indyjanom, gdzie litościwa kula, cierpienia jego skończyła Przyjaciele pogrzebali go tam gdzie poległ.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* **T. W. Kochańskiego** wyszedł nr. 44ty i zawiera: 1) Uwagi nad artykułem: jak zapobiedz głodowi? Napisał K. J Turowski. 2) O wystawie płodów prze-

myslowości w Wiédniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy). 3) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 23ci i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) To już ostatnie moje szaleństwo. Powiastka. 2) Kuglarze. Przez A. B. 3) Nowości literackie.

Nowo odkryte pokłady złota i dyjamentów w prowincyi brazylijskiéj Bahia. Dawniéj jeszcze wspominano po różnych pismach czasowych o nowo odkrytych pokładach dyjamentów w Brazylii. Jakoż nie byłoto zmyśleniem, gdyż ostatnie numera dziennika brazylijskiego »*Iris*» a za nim »*Constitutionnel*» donoszą następujących szczegółów w téj mierze: »Przed kilką laty odkryto przypadkiem w Assura żyły złota, a natychmiast wyruszyły tam dla zrobienia szczęścia kupy przemytników, i osiadły po większéj części w pustych okolicach Bahia, leżących w pobliżu południowych wybrzeży rzeki św. Franciszka. Wszyscy ci przemytnicy pootwiérali niezwłocznie kopalnie i znaleźli wkrótce pokłady dyjamentów nieocenionéj wartości. W każdym potoku, w każdym pagórku pomienionej okolicy, jako téż na wielkiéj dolinie Sincara pojawiły się ogromne skarby złota i drogich kamieni. Idąc za tą ponętą, opuściło wiele mieszkańców miasta i prowincyi Bahia, Minas, a nawet Rio-Janejro, dawne swoje siedziby i udało się w owe szczęśliwe strony, aby tam skarbów szukać. Nié ma jeszcze lat trzy, jak tam piérwszą uncyję złota znaleziono, a teraz mieszka w téj pustéj niegdyś okolicy przeszło 40.0000 ludzi. Trudnoby uwierzyć było, co o tamtejszych skarbach opowiadają, gdyby listy i doniesienia naocznych świadków istotnéj prawdy tych wieści nie zatwierdzały. I tak czytamy w pewnym liście: »W każdym potoku jest złota podostatkiem, a w całéj okolicy rozbija się wszystko co żyje za dyjamentami.» Dokładniejsze jeszcze wyobrażenie o ważności owych poszukiwań możemy powziąć, gdy się dowiemy iż jeden parowy statek angielski niedawno za 1000 *contos de reis*, to jest 2.066.000 frank. dyjamentów z Bahia do Europy przywiózł, chociaż większa część dyjamentów najprzód do Rio przesyłaną bywa, i tam dla większéj ilości kapitałów, jako też lepszego znawstwa handlu dyjamentami, nierównie zyskowniej się przedaje. — Po przytoczeniu tych okoliczności przygania dziennik »*Iris*» rządowi brazylijskiemu, iż dotąd żadnych środków wcelu zabezpieczenia dochodów skarbowych nie przedsięwziął, gdy przecież w Brazyli wszystkie nowoodkryte pokłady prawnie rządowi należą, a rząd do téj chwili żadnej administracyi w nowo-zaludnionych okręgach nie zaprowadził. W końcu czyni tenże sam dziennik brazylijski słuszną uwagę, iż ten zganiony tu brak wszelkich policyjnych i sądowniczych zwierzchności jest najlepszym dowodem łagodnego i zgodnego charakteru Brazylijan, jeśli przy uwijaniu się tylu tysięcy chciwych awanturników i włóczęgów w tamtejszych od wszelkiego nadzoru oddalonych okolicach, żadne dotąd znaczniejsze bezprawie się nie zdarzyło.

Salangana. Tak nazywa się jaskółka wschodnio-indyjska, któréj gniazda za najwytworniejszy przysmak uchodzą. Jest ona nieco jeżli nie wielkością, to przynajmniéj lotem do europejskiéj jaskółki podobna, z tą różnicą, iż rzadko kiedy wysoko w powietrze się unosi, lecz zazwyczaj po nad falami morza ulata. Z morzą też dobywa ona téj kléjowatéj materyi, która jéj gniazdom owego wychwalanego smaku nadaje. Najczęściéj widzićć można salangany w tych stronach morza, gdzie wiele ikry rybiéj po wodzie pływa. Ponieważ jednak dotąd jest niewiadomo, jakim sposobem one téj materyi nabywają, przeto sądzą niektórzy, iż salangany po spożyciu ikry rybiéj, pewien klejowaty płyn z siebie wydają, który im do lepienia gniazd jest potrzebny, a który na wietrze wysycha i tężeje. Co do postaci, są te jaskółki mniejsze od domowych europejskich. Mają długi, biało nakrapiany ogón, ciemno-zieloną szyjkę, szare koniuszki skrzydeł i popielaty podbrzuszek. Niosą one zwykle tylko dwa jaja i wylęgają je w 16—17 dniach. Po każdym wylęgu, lepią nowe gniazda co 4 do 6 razy na rok powtarzają. Gniazda ulepione w styczniu, lutym lub marcu są najlepsze. Na wyspie Celebes znajduje się bardzo wiele salangan, a ponieważ tam w wyżwspomnionych miesiącach mnóstwo wędrownych ryb przy wybrzeżu się ikrzy, przeto zdaje się iż wniosek o dobywaniu owéj kléjowatej materyi z rybiéj ikry, nabywa ztąd tem większego prawdopodobieństwa. Gniazda salangan przydybują się najczęściéj w jaskiniach lub w wysokich szczelinach skał, do których bardzo trudny i niebezpieczny jest przystęp, przezco też zbieranie tych gniazd tylko w czasie odtoku morza się dzieje. W handlu znane są trzy gatunki gniazd salanganich. Piérwszy gatunek jest biały i świeży, i składa się z gniazd, w których jeszcze ptak jaj nie wylągł: te kupują się w handlu na wagę złota. Drugi gatunek jest już pierzem i kałem salangan powalany, kosztuje o połowę mniej niż poprzedni i wymaga wielkich zachodów, nim zupełnie oczyszczonym zostanie. Trzeci gatunek, sąto stare, poczerniałe gniazda, które przy pochodniach po jaskiniach wyszukiwane bywają. Nadzwyczajnie wysoka cena tego towaru pobudza zbieraczów gniazd salangany do narażania się na największe niebezpieczeństwa. Po wydobyciu gniazd z kryjówek, muszą one najprzód w cieniu być suszone, a od złego lub dobrego ich osuszenia zależy cała prawie ich wartość. Potem dopiero pakuje się je w skrzynie i do Chin wysyła, gdzie sztuka gastronomii najwyższego stopnia doskonałości dosięgła, i gdzie gniazdo salangany na każdym zamożniejszym stole znajdować się musi. Dają się one powiększéj części w zupie, a są tak pożywne i sycące, iż osobliwie dla ludzi osłabionych nerwów skutecznym są posiłkiem, a suchotników życie długo utrzymać mogą.

Animalculae. Pisma pruskie donoszą: »Wreszcie powiodło się profesorowi B. w Magdeburgu, uchylić zasłony Izydy, która przez lat tysiące zakrywała przed naszym wzrokiem naturę. Na jednej z ostatnich prelekcyj zrobił on swoim słuchaczom uwagę, iż gdyby można było kropli krwi ludzkiéj przypatrzyć się mikroskopem hydrogenowym, powiększającym 20.000.000 razy, tedy dostrzeżonoby tam wszelkie rodzaje źwiérząt, które teraz na kuli ziemskiéj żyją, lub w ciągu różnych okresów stworzenia od milijonów lat na niéj żyły. We krwi zdrowéj osoby spoczywają te źwiérzęta, podług zdania naszego profesora, spokojnie i cicho, lecz w czasie choroby tegoż człowieka zaczynają one się burzyć i walczyć z sobą. Przytoczenie téj okoliczności miało posłużyć do udowodnienia téj prawdy, iż każdy człowiek pierwiastek całego wszechświecia w sobie zawiéra. — Daléj utrzymuje ten sam filozof niemiecki, iż po wrzuceniu kociego trupa w gnojną kałużę, i po rozpłynięciu się tamże tegoż ciała, wszystkie krople kałuży będą zawiérały w sobie żyjątka (*animalculae*) wszelkich dawnych i te-

raźniejszych gatunków źwiérząt, należących do rodzaju kociego, i to w stanie zaciętego burzenia się, walczenia i pasowania. Ciała pośledniejszych źwiérząt, mają się składać z żyjątków swego własnego rodzaju, ludzkie zaś ciało z zarodków wszystkich podrzędnych źwiérząt.

Łowca lwów. Dzienniki paryzkie donoszą z Algieru: Znany łowca lwów Marechal des Logis Gerard otrzymał zaproszenie od szejka Mohammed Ben Amor, aby krainę jego od niebezpiecznéj lwicy uwolnił, co téż Gerard w istocie uskutecznił, zabiwszy okropne źwierzę dnia 2go sierpnia, około północy. Na to wezwali go mieszkańcy okolicy Meiria, aby ich od czarnego lwa oswobodził, który od kilku lat ich krainę pustoszy. Śmiały myśliwiec udał się z strzelbą na pewne miejsce, dokąd lew zwykł był zabiegać, i czatował tam przez trzy nocy, lecz nadaremnie. W końcu zaczaił się Gerard w samymże parowie, którędy lew koniecznie przechodzić musiał, i ujrzał go rzeczywiście w nocy z dnia 18 na 19 sierpnia, około 11 godziny, przy nadzwyczajnie jasnem świetle księżyca, nadchodzącego z wielkim rykiem, gdyż zwietrzył już nieprzyjaciela. Gerard przypuścił lwa na cztery kroki, poczém strzelił do niego, lecz kula odbiła się od twardego łba, i upadła Gerardowi na piersi. Rozjuszony tém lew, poskoczył ku łowcy i obalił kamień, za którym Gerard czatował. Odrzuciwszy więc strzelbę, chwycił śmiały strzelec za sztylet, który miał na podręczu, ugodził nim lwa w piersi, co chociaż sztylet się złamał, tyle przecież pomogło, iż lew z okropnym rykiem odskoczył i uciekł. Oprócz skaleczenia nóg kamieniem, który lew nań obalił, wyszedł Gerard cało z téj walki.

Napoleon i podoficer Noel. Przy jednym z ostatnich przeglądów wojskowych w roku 1814tym, postrzegł cesarz pewnego starego żołnierza, który wszakże tylko stopnia podoficera się dosłużył. Miał on duże czarne oczy, które jak dwie pochodnie na brunatnéj, dymem dwudziestu bitew okopconéj twarzy błyskały; ogromne wąsy zakrywały pół twarzy i nadawały jéj jeszcze groźniejszego wyrazu. Cesarz skinął na niego, aby wystąpił z szeregów, i bliżéj przyszedł. — »Widziałem cię już gdzieś —» przemówił doń Napoleon »lecz to już dawno temu. Jak się nazywasz?» — »Noel, sire, z Paryża.» — »Nie byłżeś ze mną we Włoszech?» — »Byłem, sire, we Włoszech, i pod Arkole.» — »Tak jest; teraz cię sobie przypominam; i zostałeś podoficerem?» — »Pod Marengo, sire.» — »A później?» — »Później, sire, niczém.» — »Nie chciałeś więc wstąpić do gwardyi?» — »Owszem, byłoto mojém najgorętszém życzeniem, gdyż byłem pod Austerlitz, pod Wagram, i we wszystkich wielkich bitwach.» — »Byłeś już do krzyża legii honorowéj polecanym?» — »Za każdym razem, sire.» — »Wróć do szeregu.» — Po tém zbliżył się Napoleon do pułkownika tegoż pułku, i rozmawiał z nim długo, uznając, iż było niesprawiedliwie, nie posunąć Noëla na wyższy stopień, i że mu świetne wynagrodzenie dać należało. Przywołał więc powtórnie podoficera i rzekł: »Oto Noelu, masz, coś już dawno zasłużył—» a zarazem odjął swój krzyż i przypiął go staremu żołnierzowi na piersiach. Na dany przez pułkownika znak, uderzono w bębny, a gdy po chwili głęboka cisza nastąpiła, przedstawił pułkownik nowego kawalera legii honorowéj pułkowi, i zawołał donośnym głosem: »W imieniu cesarza, macie uznać Noëla podporucznikiem waszego pułku!» — Tu pułk sprezentował broń przed nim, a muzyka wojskowa ozwała się szumnem uderzeniem w trąby i kotły. Noël chciał upaść do nóg cesarzowi, lecz surowe oblicze Napoleona, które w dopełnionym akcie raczéj wymiar sprawiedliwości niż użyczenie łaski upatrywać się zdawało, powściągnęło wybuch wdzięczności nowego podporucznika. Napoleon skinął na nowo, pułkownik dał znak szpadą, i znowuż uderzono w bębny, a pułkownik zawołał: »W imieniu cesarza, macie uznać podporucznika Noëla, pierwszym porucznikiem waszego pułku.» — To nowe szczęście o mało starego Paryżana zmysłów nie pozbawiło; nie uroniwszy od lat dwudziestu ani jednéj łzy, mrugał teraz wilgotnémi oczyma, i ledwie na nogach z radości mógł się utrzymać. I po raz trzeci uderzyły bębny, a półkownik zawołał: »Żołnierze! W imieniu cesarza macie uznać porucznika Noëla kapitanem waszego pułku.» A gdy kotły i trąby po raz trzeci się odezwały, zwrócił Napoleon konia, i odjechał z całym swoim sztabem daléj wzdłuż frontu, podczas gdy Noël, nie zdolny wymówić słowa, padł wpół zemdlony w objęcie pułkownika.

Iryjczykowie, którzy zazwyczaj Anglikom za cel szyderczych pocisków służą, są przy wszelkiéj swojéj prostocie i nędzy wzorem nieskazitelnego charakteru. Zmarły przed niedawnémi czasy sławny angielski artysta Mathews wyjechał był jednego razu w towarzystwie służącego konno na spacer, i wysławszy służącego z drogi do pobliżkiego dworku, czekał nań tymczasem u promu, gdzie jakiś obdarty iryjski żebrak o jałmużnę prosić go zaczął. Gdy Mathews na jego prośby nie zważał, rozwiódł się żebrak w szerokim lamencie, iż wraca do Irlandyi, że nie ma ani kawałka suchego chleba, i że przeto mały szelążek byłby dlań wielkim skarbem. Na to odpowiedział mu Mathews, iż i jemu rownie źle się powodzi, że niema także ani szeląga przy duszy, i musi tu czekać, aż się kto nie zlituje i przewóz na promie za niego zapłacić zechce. »Zostawiłbym konia w zastaw» — dodał artysta — »lecz jestem chromym, i nie mogłbym zajść do domu.» — Żebrak spojrzał nań zrazu wątpliwie, a potém rzekł, »Jegomość chromy, a ja mam dzięki Bogu dwie zdrowe nogi; zapłacę więc przewóz za jegomości. Przecież mnie jeszcze lepiéj na świecie.» To rzekłszy dobył jakiéjś brudnéj szmaty z kieszeni, w któréj miał dwa szylingi zawinięte i dał połowę artyście. — »Lecz jakże ci oddam pieniądze?» spytał Mathews. »Mieszkam daleko za wodą, a ty idziesz do Irlandyi.« — »Nic to nieszkodzi, mój jegomość, »odrzekł żebrak — » dajcie tylko te pieniądze pierwszemu lepszemu z moich biédnych ubogich rodaków, którego spotkacie, a to będzie znaczyło tyle, jakbyście mnie oddali.» — »Zgoda —» zakończył Mathews, a po zwyczajném iryjskiém pozdrowieniu »Żyjcie długo, jegomość —» poszedł sobie żebrak w dalszą drogę. — Mathews nie miał rzeczywiście ani grosza przy sobie, lecz na szczęście nadjechał służący i pożyczył mu swoję sakiewkę. Z tą pospieszył Mathews za uczciwym Iryjczykiem i wetknął mu ją w rękę.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.